

Marian Filar

Rekin wakacyjny

Palestra 48/9-10(549-550), 110-112

2003

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Marian Filar

REKIN WAKACYJNY

Kanikuła to nienajlepsza pora do pisania społecznoprawnych felietonów. Politycy i palestranci na urloпах, życie „w tym temacie” ulega spowolnieniu. Nie ma jednak tego złego, co na dobre by nie wyszło. Brak natłoku bieżących wydarzeń stwarza szansę na pewną bardziej uogólniającą refleksję.

Gdyby ktoś spytał mnie o najważniejsze zagrożenia dla rozumianego najogólniej systemu prawa polskiego, nie wahałbym się długo.

Pierwszym z nich jest ogromny bałagan w sferze stanowienia prawa. I nie chodzi mi tu o sławetny problem „kupowania” ustaw. W końcu nie oszukujmy się, istotą systemu demokratycznego jest to, że uchwalane przez jego ustawodawcze instancje prawo stanowi zawsze odzwierciedlenie, jeśli już nie bezpośrednich interesów grup społecznych i reprezentujących je partii większości parlamentarnej, to przynajmniej ich strategicznej wizji rządzenia państwem i jego ideologiczno-prawnej poetyki. Chodzi mi o czysto techniczny aspekt zagadnienia. W aktualnym stanie rzeczy w Polsce nikt na dobrą sprawę nie wie, kto w ostateczności jest odpowiedzialny za taki a nie inny tekst projektowanej ustawy, spod czyjej ręki wyszło takie a nie inne sformułowanie, kto postawił, a kto skreślił dany wyraz, kropkę czy przecinek. Pokazała to najlepiej tzw. afera Rywina, w której to sławetna speckomisja, jak na rafie koralowej utknęła na pytaniu kto, gdzie i dlaczego skreślił w tekście projektu ustawy jeden wyraz nadający węzłowej dla ustawy medialnej regulacji bardzo konkretną treść. Ot, biedne „lub czasopisma” zginęło gdzieś na przestrzeni 500 m w czasie 2 godzin i dziś nie sposób ustalić, kto miał tu dziurawą teczkę. Znam trochę „od kuchni” te sprawy. W swoim czasie na zlecenie Naczelnej Rady Lekarskiej

przygotowywałem projekt nowelizacji ustawy o izbach lekarskich w jej części dotyczącej ważnej sprawy postępowania przed sądami lekarskimi. Napracowałem się, napociłem, powstał projekt, nie mnie oceniać czy dobry, czy zły, ale na pewno wewnętrznie spójny i odzwierciedlający konsekwentnie jakąś ogólną zwartą koncepcję takiej odpowiedzialności. Na pierwszym posiedzeniu mieszanej ministerialno-lekarskiej komisji nasłuchałem się komplementów. Ale potem miłe panie z Ministerstwa wzięły projekt „do dalszych uzgodnień”. Czym więcej było kolejnych posiedzeń i kolejnych uzgodnień, tym tekst coraz mniej przypominał moje „dziecko”. Gdy na kolejnym posiedzeniu doszedłem do wniosku, iż mój legislacyjny potomek w coraz większym stopniu staje się „murzynkiem”, do którego ojcostwa nie mogę się już przyznać, wycofałem się z dalszych prac, bo nie widziałem już sensu dalszego w nich udziału. Jakieś kolejne posiedzenie, jakieś kolejne Panie, jakieś kolejne uzgodnienia, jakieś kolejne zmiany. Nie wiadomo przez kogo i dlaczego dokonane, słowem, jak to się u nas mawia – „czeski film, nikt nic nie wie”. No i jak tu się dziwić, że w atmosferze takiego legislacyjnego bałaganu giną potem gdzieś po kątach słowa i sformułowania decydujące o istocie projektowanego aktu?

Drugi problem jest również poważny. To specyficzne „selektywne” podejście do prawa i podlegania mu, trochę w duchu sympatycznego sienkiewiczowskiego bohatera Kalego. Nie od dziś wiadomo, że najlepszą (samo)obroną jest atak. Tę sportową regułę twórczo zaadoptowali do swej działalności parlamentarzyści pewnego krzykliwego ugrupowania mającego zresztą tę technikę w swej nazwie. Co wy się tam przy..... do jakichś głupstw i drobiazgów! Jakieś stare traktory czy kombajny! Jakieś głupie kilkaset tysięcy niespłaconego kredytu! A gdzie rozliczenie afery FOZZ i „złodziejskiej prywatyzacji”, gdzie straty idące w ciężkie miliony. Co wy tak ciągniecie nas po sądach w sprawach takich drobiazgów! Toć to szykana polityczna wobec nas, jedynych sprawiedliwych w nadwiślańskiej Gomorze!

Myślenie to zaczyna się niebezpiecznie rozpowszechniać na tzw. opinię publiczną. Drodzy „jedynie sprawiedliwi”! Istotą prawa w demokratycznym państwie jest to, że jest ono jednakowe dla wszystkich. Nie ma „lepszych” i „gorszych” naruszeń prawa. Naruszenie prawa jest zawsze naruszeniem prawa i zawsze powinno pociągać za sobą określone w nim konsekwencje. Jasne, że są przestępstwa poważniejsze i mniej poważne. Ale od tego mamy katalog różnych konsekwencji prawnych ich popełnienia, by do tych poważnych stosować poważniejsze konsekwencje, czyli mówiąc inaczej, surowsze sankcje, do tych mniej poważnych, sankcje łagodniejsze. Jasne, że za kradzież kilkuset milionów sankcja powinna być surowsza niż za kradzież kilku tysięcy! Ale jakaś sankcja musi być. I jaka ona będzie, decyduje o tym niezawisły sąd. Innego wyjścia po prostu nie ma. A już na pewno od oceny poważności przestępstwa i tego, czy w ogóle w sprawie jego popełnienia warto sobie zawracać głowę obecnością w sądzie, nie jest ten czy inny parlamentarzysta, czy ta lub inna partia. Bo oni są od stanowienia prawa, a sądy od jego stosowania, co wynalazł już niejaki pan Monteskiusz! I powiem więcej – jeśli przestępstwo, nawet niezbyt poważne popełnia ktoś, kto stanowi prawo i kto powinien być symbolem i

wzorem jego przestrzegania, fakt ten rzutuje niewątpliwie na ocenę stopnia jego społecznej szkodliwości, znacznie ją powiększając. Bo takie osoby są osobami szczególnego publicznego zaufania. I jeśli ustanowione przez siebie prawo naruszają, dają „maluczkim” zły przykład i powodują ich zgorzenie. Nie można bowiem równocześnie być ratownikiem i rekinem. A jeśli jest się już ratownikiem, nie można tłumaczyć się następnie, iż to, że ugryzło się kąpielowicza w łydkę jest głupstwem niewartym zwracania głowy, ponieważ na Florydzie rekin pożarł innego kąpielowicza.